Wielmożny Pan Stan. Kozłowski

Stanisław Barącz

Impresje

Lwów
1902

Księgarnia
Polska

Skład Główny w Księgarni
E. WENDE i S-ka w Warszawie

IMPRESJE.

STANISŁAW BARĄCZ

IMPRESJE

LWÓW 1901
KSIĘGARNIA POLSKA
ODBITO W DRUKARNI
NARODOWEJ W KRAKOWIE.

I.

Z MARZEŃ I WSPOMNIEŃ.

W zamglonych górach tęsknoty,
Szemrze zdrój srebrny marzenia;
W tym zdroju smutne me serce
Nurzam i nurzam bez końca...

Na mrocznych szczytach tęsknoty
Szumi uwiędły dąb wspomnień —
W tym szumie całą mą duszą
Tonę i tonę bez końca.

Choć się ziemia stroi w blask maju,
Choć słońce świat złotem zalewa,
Choć miłość piosenką o raju
W naturze się całej rozbrzmiewa,

Choć cały świat szczęściem promienny
I zewsząd radości zdrój tryska,
Me serce — step wiecznie kamienny,
Gdzie rozpacz odprawia igrzyska.

* * *

DO . . . . .

Opuścisz wszystkich, co tu Cię kochali,
Siostry, przyjaciół i kraj Twój rodzony,
W dalekie, obce, stąd podążysz strony,
Na losu bystrej uniesiona fali.

Tam Ci się szczęście uśmiecha z oddali,
Słodkich rozkoszy wołają Cię tony,
Tam się dopełni los Ci przeznaczony,
Tam gwiazda szczęścia nad Tobą się pali.

Lecz sny młodości, marzenia i czary
Mają nad duszą swą władzę tajemną;
Każda piosenka obudzi ich gwary;

One powrócą kiedyś nocą ciemną,
Pamięcią zwołasz ich rozpierzchłe mary,
I łzę uronisz z tęsknotą daremną.

* * *

Tak nęci srebrnym szumem zdrojów górskich fala,
Gdy w dzień letniej pogody cała słońcem płonie
Gdy wszystkie blaski nieba kołysząc na łonie,
Odbija skały, lasy i gór widma zdala. —

Lecz gdy nocy pochmurnej tuman ją przewala,
A nagła nawałnica rozburzy jej tonie,
Słuchaj, jak wre ta fala, jak rozpaczą zionie,
Jak rozbita o skały jękiem się użala...

Tak samo serce moje, pogodne nadzieją,
Pieśń o szczęściu miłości, w swoich głębiach pieści,
A w pieśni cudne życia roztacza obrazy.

Lecz gdy nocy zwątpienia chmury je owieją,
Tak wre całe rozpaczą i jękiem boleści,
Jak ta fala w ciemnościach miotana o głazy...

DWIE AZALJE.

Dwie azalje na siebie patrzą w rozmarzeniu.
Tej lica lśnią białością, — tej rumieńcem płoną;
Że nie mogą kwiecistą złączyć się koroną,
Stoją ciche i smutne w tęsknoty omdleniu. —

Lecz wzajemnie po słońca złocistym promieniu
Barwiących pyłków sobie posyłają grono,
Fala płynnego złota, co im muska łono,
Łączą się te dwa kwiaty w wspólnem ubarwieniu.

A dwie dusze, miłości owładnięte siłą,
Rozdzielone przez losy w tęsknocie i żalach,
Żyją zamknięte w sobie — lecz tonąc w wspomnieniach,

W sferę duchów, nad wszystkich żądz ziemskich mogiłą,
Szlą swe myśli na złotych wyobraźni falach —
By zlać się gdzieś za światem w uroczych marzeniach. —

JASNY ANIOŁEK.

Jasny aniołek opętał mi duszę,
I dniem i nocą wciąż go słuchać muszę.
I dniem i nocą widzę jego oczy,
I idę za nim z sercem pełnem skruchy,
A on mnie wiedzie, mój anioł uroczy,
Gdzie tylko miłość może zawieść duchy.

Przez marzeń bory wiedzie mnie dziewicze,
Gdzie grają przeczuć szumy tajemnicze,
Nowego piękna rzuca na mnie zorze,
Ogromne szczęścia roznieca mi słońca,
I nad wzburzone wznosząc życia morze,
Wiedzie w kraj światła, miłości bez końca.

Gdzie, jak mój anioł, świetlani anieli,
W olśniewającej cicho płynąc bieli,
W ciszy się łączą, jak promień z promieniem —
I nagle zdjęci zachwytem miłości,
Na piersiach bożych spocząć z upojeniem
Lecą — i toną w niezmiernej światłości.

O ŚWICIE NA JEZIORZE.

Aniele mój,
O śnij — O śnij —
Marzenia snuj,
Z nich tęcze wij,
Zlej marzeń rój,
W jutrzenki zwój,
I mój Aniele śnij. — —

Na ciemną toń
Padł świtu róż —
Odurza woń
Nadbrzeżnych wzgórz.
Tu przytul skroń
I daj mi dłoń — —
Na toń padł świtu róż.

Brzmi ptasząt spiew,
Wstał z lasu szmer,
Na czołach drzew
Kaskada skier,

Jak boży siew
Z promiennych stref —
Brzmi spiew. — Wstał z lasu szmer...

Od fali lśnień
Aż ćmi się wzrok;
Wstał młody dzień
I łowi mrok;
Swiat pełny drżeń
I słodkich pień.
Od lśnień — aż ćmi się wzrok...

Mknie nasza łódź
Wśród pląsów fal,
A rybek młódź
Mknie przed nią w dal. — —
O zbudź się, zbudź,
I okiem rzuć
Na łódź wśród pląsów fal. —

Jak ona błogo marzy — —
Jej płowy włos jak len
Rozsypał w okół twarzy
Głęboki, cichy sen,
I rozkwitł na jej ust koralach
Takim anielskim uśmiechem,
Że zda się na błogości falach
Przyniesionym rajskich wspomnień echem;

I skrył pod rzęsą złocistą
Jej duszy jasne jeziora,
A mojej duszy błękity —
I w wielki oblekł ją spokój. —

Stanisław Barącz

Na drżących piersiach dziewczyny,
Gdzie zdrój młodości porywów
Gorącą bijąc krwi falą
Najżywszem burzy się tętnem,
Róża, co jeszcze z wieczora
Cała krzyczała szkarłatem.
Dzisiaj pobladła i zwiędła
Upuszcza listki i kona...

Jak dziwnie wygląda to dziecię,
Z tą różą gasnącą na łonie
O takim cudownym dnia świcie,
Gdy cały świat życia skrą płonie,
A pod nią tajemnie coś szepce
Swietlana jeziora toń,
A nad nią się łączą promienie,
Jak dusze aniołów w Edenie:
Chłonie błękitem jasna niebios błoń. —

Wtem wonny wietrzyk wstał z łąk —
I całą złocistą swą twarzą
Na fale, co ogniem się żarzą,
Padł słońca ogromny krąg
I wielką światła nawałą
Zalał tę spiącą mą całą...

Aniele mój
W tych blaskach śnij,
Marzenia snuj,
Z nich tęcze wij,
Nim poznasz znój
I życia bój —
O mój aniele śnij. —

KWIAT LOTOSU.

Kwiat lotosu wykwita nad Gangesu tonie —
Drżąc rozchyla swój kielich w słonecznych promieniach.
Swobodny motyl, krążąc w błękitów przestrzeniach,
Wciąż lot zniża, przez kwiatu urzeknięty wonie. —

Lotos cały drży w słońcu; szkarłatem tak płonie,
Takie leje balsamy na wietrzyku tchnieniach —
Motyl opuścił skrzydła, tonąc w upojeniach,
Zasnął, zasnął na wieki, na lotosu łonie.

Ach! chciałbym jak ten motyl na Twem łonie białem
W upojeniu z ust Twoich pić rozkoszy czary;
Wsłuchać się całem sercem w Twego serca bicie,

W ócz Twych czarnych błękitach tonąć z lubym szałem,
Krwi mej — mego istnienia przelać w Ciebie żary —
I usnąć — i już nigdy nie wrócić do życia. —

DO...

Ty pójdziesz za mną wszędzie, gdzie mię los mój niesie.
W Twych piersiach, jak dzwon bije święte wzniosłe serce
Co uczuciem się z ziemi rwie nad gwiazd kobierce
I błyska mi kometą w moich marzeń lesie! —

My żyjemy dziś w smutnym spodlenia okresie,
Gdzie prawda, cnota, honor, godność w poniewierce,
Gdzie gnębiąc tłum nędzarzy, drwią zeń podli zdzierce,
Gdzie wyzyskać szlachetność — to rozumem zwie się.

Tam — »chleba!« woła motłoch z zgłodniałem obliczem,
A inny motłoch w złocie wygraża mu biczem;
Nie dość jeszcze swej hańby syte ludzkie zwierzę. —

Nasza droga wciąż w górę; na samotne szczyty;
Tam tonąc w wiecznem pięknie, z zachwytu w zachwyty
Czasem nad biednym tłumem odmówim pacierze. —

ZBŁĄKANY PTAK.

I.

Zbłąkany ptak wciąż w siną dal,
Za stadem dąży błądząc w mgłach,
Gna go tęsknota, niesie żal —
Już wiatr mu skrzydła stargał w łach,

A tak weń bije ostry szron;
Już na samotny spada step,
Z rozpaczą czując bliski zgon — —
Wpił oczy w szary nieba sklep.

Z wichurą siecze zimny deszcz,
A w sercu ptaka straszny ból...
Już nim konania wstrząsa dreszcz
Wśród głuchej pustki martwych pól.

Już mu ostatki mdleją sił,
Z znużenia każda drga w nim kość;
Tak ciągnie ziemia w mokry ił,
Bezwładna go ogarnia mdłość. —

Ogarnął go przedśmiertny sen
I rozwarł przed nim marzeń raj,
Porywających pełny scen;
W śnie południowy widzi kraj.

II.

W ciemnych lazurach kołyszą swe szczyty
Wysmukłe palmy, drzewa rozłożyste,
U stóp ich fale jeziora srebrzyste
Pieszczą się z słońcem i piją błękity. —

Widzi swe stado — jego towarzysze
W cieniu palm spiewne prowadzą zaloty.
Śliczne ich gniazda, tak czułe pieszczoty,
A wonny wietrzyk palmami kołysze.

Widzi, jak lecą na uroczy wzgórek,
Gdzie rój motyli tęczami migoce,
Gromadka w słońcu grzeje się jaszczurek,

Gdzie cudne kwiaty i złote owoce
Lecą — aż niebo srebrzy się od piórek;
Wtem ukochany głos nań zaświegoce.

III.

Ach! to najmilsza mu w życiu ptaszyna,
Najdroższa sercu kochanka jedyna. —
Leci ku niemu, tak mu serce skacze:
Już się z nim wita i tak się z nim pieści,
Słodkim szczebiotem radość swoją wieści,
Grucha radośnie, z radości aż płacze. —

Wiedzie go z sobą, w ciepłem gniazdku tuli,
Tak się trzepoce, przymila i czuli;
Wielkie czerwone znosi mu jagody...
Wtem znika, nagle gdzieś pod niebem tonie —
Rzewną tęsknotę uczuł ptak, i w łonie
Złowrogich przeczuć przebiegły mu chłody. —
Miał sen tak przykry, smutne w śnie przygody.
Poleci za nią — już otrząsa piórka.
Wtem oczy srebrna przysłania mu chmurka,
Ciemnieje, nagle, w szarą mgłę się zmienia!
Tu z przerażeniem ocknął się z marzenia.
Znów step ogromny ujrzał ptak —
I ściął mu serce zgrozy mróz. —
Wzrok mrący utkwił w mglisty szlak,
Ostatni marzeń znikł mu gruz;
Żałośnie jęknął w nieba sklep —
I jak zerwany wichrem kwiat
Padł na milczący pusty step.
I grób ma wielki z mgieł — jak świat.

MEDYTACJE.

Wszystko przeminie — szczęście, miłość, sława;
Po wszystkiem tylko zostanie wspomnienie,
Dźwięczące duszom, jak melodja łzawa.

Snów Twej młodości rozpierzchną się cienie
I duszę Twoją zdejmie szary smutek,
Gdy ujrzysz puste dokoła przestrzenie.

A serce Twoje będzie jak wyrzutek,
Błądzący w życia niezmiernych obszarach,
Nieznanych przyczyn tajemniczy skutek.

Zapłaczesz gorzko po tych cudnych marach,
Co duszę Twoją rwały w sfery górne,
Po tych na niczem spełzłych Twych zamiarach.

I pamięć Twoja zamieni się w urnę.
Pełną pamiątek tajemniczej treści,
Na której niebo odbija się chmurne.

Młodość, ach! młodość w swych marzeniach pieści
Zapału słońca, wyobraźni skarby,
Światy rozkoszy, miłości i cześci.

Wszystko w niebiańskie chce przyoblec farby,
Które rozsnuła na przyszłości krośnie,
Wszystko chce ująć w swoich pragnień karby.

I któż nie wierzył w cudnej życia wiośnie,
Że raju tego rozewrze wrzeciądze,
Gdzie kwiat się szczęścia rozchyla miłośnie;

Że zaklnie w czyny swe najśmielsze żądze
I karki losów zegnie pod swą wolę
Zakute w zachceń zuchwałych mosiądze.

Lecz wiek dojrzalszy, patrząc w ludzką dolę,
Pozna, że człowiek nie jest panem losu,
Lecz mgnieniem w zdarzeń wirującem kole,

Czczym błyskiem tylko wśród zjawisk chaosu,
Drgającą kroplą w życia rwącej fali —
Dźwiękiem rzuconym w próżnię bez odgłosu, —

Małym odłamkiem ode pnia korali,
Pędzonym prądem przez nieznane morza
Ku tajemniczej, niezbadanej dali; — —

Ni mu gdzie spocząć wśród tych wód przestworza;
A tam, skąd płynie, już nie zdoła wrócić
Igraszka wirów, ten tułacz bezdroża.

O jak boleśnie z marzeń się ocucić,
W własnego serca zamknąć się żałobie,
Cudny świat złudzeń na wieki porzucić.

Niewierne szczęście widzieć w każdej dobie,
Wciąż słuchać dźwięków tej harfy pamiątek,
Pięknych lecz smutnych, jak kwiaty na grobie. —

ROZSTRÓJ.

W sercu zgasło mi słońce. Przez szału bezdroża
Sił jakichś party gwałtem ku bezdniom niedoli
Idę; kir smutku zakrył mej duszy przestworza;
Cały świat w moich piersiach zamiera powoli.

Ostatni błysk nadziei zgasł krwawo w mej duszy;
Sam w ciemnościach zwątpienia — ja sam jak śmierć smutny
Znoszę męczarnie życia śród piekieł katuszy:
Nademną czarna rozpacz, jak pająk okrutny —

Cicha rozpacz swe sieci tak zdradnie zarzuca,
Tak wpija mi się w serce, w męczarniach je krwawi —
I jak suchoty ciało, kiedy wtargną w płuca,
Tak rozpacz moją duszę rozkłada i trawi!

Zewsząd złowrogich przeczuć zrywają się mary
Z krzykiem: »Nie masz ratunku — twoja dusza kona!«
Noc okropna, lęk straszny wciąż rosną w bezmiary,
A moja dusza żęrzy na kole Ixjoma.

Stanisław Barącz

SONET.

Przeszłość ogarnie złych losów koleje,
Przeszłość pochłonie złote szczęścia chwile;
Gmach, co dziś stanął, jutro legnie w pyle;
Niepamięć wszystko w swych zaspach zawieje.

Jednak wciąż złudne wabią nas nadzieje,
W urokach wiosny i w młodzieńczej sile;
Mimo zawodów, rozczarowań tyle;
Jutrzenka szczęścia wciąż nam w mgłach jaśnieje. —

My jak pielgrzymi wśród wichrów i burzy,
Zziajani dążym przez życia pustynie
Do tej wyśnionej, cudownej oazy,

Gdzie źródło szczęścia srebrnym szmerem płynie.
Cóż ujrzym w końcu tej żmudnej podróży?
Nicość snów naszych, rozczarowań głazy...

Głęboki smutek przygniótł serce moje
I wnet umilkły w nim wesela zdroje — —

*

Drapieżny smutek wżarł się w moje nerwy,
W śnie i na jawie dręczy mię bez przerwy — —

*

Wygnał z mej duszy nadziei blask złoty
I zawisł nad nią czarną mgłą zgryzoty — —

Stanisław Barącz
26

ŁZY.

»Zmiłuj się, zmiłuj, o Panie nasz, Boże,
O patrz, jak strasznie pieni się i wzdyma,
Jak wielka ziemia, tak ludzkich łez morze
Wzbiera i z jękiem na niebo się zżyma. —
Z warów łez mętne buchają opary
I zbite w jeden groźnych chmur zwał szary
Tak ćmią, o Panie, Twych niebios przestworze,
Że dla gwiazd Twoich nawet miejsca nie ma«.

Tak z nieba widząc z łez tych chmur ołowie,
Ukląkłszy w żalu u bożego boku,
Błagają Pana święci aniołowie
O zmiłowanie biednym dzieciom mroku;
I nad ludzkości nędzą i rozpaczą
Perłami żalu aniołowie płaczą,
Co spojrzą, serca im przenika mrowie
Od chmur się łzami kłębiących widoku. —

A Pan łaskawie wejrzał na lazury,
Wyciągnął rękę przez blasków poręcze,

Zgarnął im z lica łzy i puścił z góry.
I jak gwiazd rzeki, jakby z słońc obręcze,
Płyną i płyną, świecąc przez niebiosy
Oczu anielskich zmiłowania — rosy; —
I łez człowieczych pełne zgrozy chmury
Łzami aniołów Pan przemienia w tęcze. —

II.

IMPRESJE.

W NOC MIESIĘCZNĄ.

W noc miesięczną, w noc letnią, ma łódź zwolna płynie
Po jeziora zaklętem w czar mistyczny kole.
Księżyc w rzewny blask drżący otula topole
I toczy rzeki srebra po modrej głębinie.

Zioła rozmarzającą tchną wonią w dolinie,
W górze kwitnie gwiazdami ciemne niebios pole,
Anioł ciszy natury koi wszystkie bole,
Niezmierną na nią błogość zlewa w tej godzinie.

Duchem wnikam w naturę — — — i spływam się z wodą,
Rozlewam się w przestrzeni w drzew lekkuchnych szmerach,
I roztapiam się cały w księżyca jasności,

I czuję: za wszechświata harmonijną zgodą
Tętniące nowe życia w tajemniczych sferach —
Nowych światów poczęcie z odwiecznej miłości.

SŁOŃCE.

Słońce z różanej zorzy wzniosło złote lice,
Stada krzyczących blasków rozproszyło wkoło,
Które na dachach domów igrając wesoło
Kaskadą złota w szare spadają ulice;

Światłem ogarnia w zieleń strojne okolice,
Pod płaszcz ciepłych promieni tuli gwarne sioło,
Poi weselem ludzi i zwierzęta społo,
Na kwiatach rosy zmienia w brylantów iskrzyce. —

Z błogością w ciemny błękit nurzając oblicze
Patrzy na tchnące wonią pełne szumów lasy
I na stawów drzemiących głębie tajemnicze —

I z najlichszej roślinki dobywając krasy
W bój ze śmiercią szle światło i ciepło swe gońce
Miłość, zaklęta w światłość — życiodajne słońce. —

POSUCHA.

Słońce z góry tak ciska płomienne swe żary,
Jak gdyby wrących chuci rozkiełzawszy wodze
Chciało kochance ziemi w miłosnej pożodze
Wszystkie ożywcze soki wyssać swymi skwary.

Drzewa stoją powiędłe, zwiesiwszy konary,
Jakby oczekiwały na coś w niemej trwodze.
Żaden zdrój nie zaszemrze, — wiatr gdzieś zamarł w drodze;
Nigdzie owad nie brzęczy — zmilkły ptasząt gwary.

Wszystko milczy — a w całej mdlejącej naturze
Czuć jakiś bunt zacięty, jakąś niemą burzę,
Co bluźnierstwa tchem zieje w to niebo przeczyste. — —

W te błękity bez końca nie płyną już głosy
Modlitwy o zdrój łaski, o kropelkę rosy, —
Bo stamtąd biją śmierci strumienie ogniste.

BURZA.

Wchłonęła krwawe słońce; sine błyskawice
Wpięła w rudych chmur włosy u groźnego czoła,
I rusza niezbłagana przez niwy i sioła,
Ciskając na chat dachy piorunów gromnice.

Biczem z gromów wyjące chłoszcze nawałnice,
Spuszcza z zgrzyczącej sfory złe wichry dokoła,
Gradu przekleństwem miota na zboża i zioła;
Lasy przed nią drżąc jęczą jak wielkie dzwonnice.

Z olbrzymich skrzydeł strząsa kurzawy tumany,
Wlecze ze sobą nagi głód, pomór i klęski,
Wielka — traw i gałęzi owinięta runem.

Straszliwą stopą kopie powodzi bałwany,
Wali odwieczne dęby w swój pochód zwycięski,
Za nią śmierć i noc czarnym ścielą się całunem.

Stanisław Barącz

SŁOTA.

Tłoczą niski widnokrąg chmury szare, mętne,
W mgłach spowita, po drzewach zwisa senna nuda;
Szkli się brudnym połyskiem rozmoknięta gruda,
Rynny mruczą pod murem, jak dziady natrętne.

Płynie senność bezwładna w białawych oparach,
Lenistwo ziewa w sinym ścielącym się dymie;
Słota zaciąga mokre swe płachty olbrzymie,
Zimne dreszcze przebiegły po ziemi obszarach.

Myśl jak zwilgła zapałka błyśnie — i wnet zgaśnie,
Czas leniwy powoli, nieznośnie się wlecze,
Po dachu dżdże szeleszczą, jak robactwa tłuszcze.

Wiatr się zerwie — i nagle porażony zaśnie...
Deszcz spokojnie, miarowo zwisłe liście siecze
I monotonnym szmerem bez końca wciąż pluszcze. —

POGODA.

Rozwarły się chmur bramy; błękitów potoki
Zataczają ku ziemi coraz szersze kręgi.
Nadciąga złote słońce w mocach swej potęgi,
By rozprószyć dokoła niepogody mroki.

Pchnęło naprzód różowe i złote obłoki,
Rzuca na toń błękitów swoich blasków pręgi,
Piętrzy w przestrzeniach światła promieniste łęgi.
Od nieba powiał wietrzyk, rozwiał mgieł powłoki,

Spadł na niwy, pogody zwiastunem i gońcem,
I ziemia w skrach stanęła, cała zlana słońcem.
Roje ptactwa szczebiotem do nieba się wdzięczą,

Krzewy radosnem drzeniem otrząsają rosy,
Kwiaty wznosząc korony tchną wonią w niebiosy;
A niebo w swoich głębiach rozśmiało się tęczą.

WIDMA WOJNY PRZED BITWĄ.

Głuchych ciemności bagna zwarła noc ponura;
Wielka rzeka, jak otchłań tajemnicza zgrozy,
Huczącą głębią dzieli wojsk wrogich obozy.
Niebo groźne, jak zwisła w gruz spękana góra.

Roni straszliwe widma wylękła natura;
Tam mór wstaje wśród pląsów błędnych ogni z łozy;
Wiatr ze świstem mgły przebił, rozwarł chmur wąwozy.
W obozach śmiech, wre orgja, wrzaski: hura, hura!

A kometa wbił w niebo ogniste swe rózgi
I patrzy, jak szał ludzki ssie serca i mózgi,
I jak głód z chmury kruków wyjrzał trupią głową,

Jak tam suche ręce chciwa śmierć zaciera.
Z wody trwożnie twarz sina topielic wyziera,
A w okół psy na polach wciąż wyją grobowo.

ZAĆMIENIE SŁOŃCA PODCZAS BOJU STAROŻYTNYCH.

W bój ruszyły zastępy. Męże, wozy, konie
Zbite w kłąb; strzały warczą, krew się w słońcu toczy;
Lwy spuszczone do skoku przymrużają oczy,
Pędzą, wznosząc trąb kłody rozhukane słonie.

Nagle spełzł błękit niebios, tylko jak krew płonie
Słońce, wciąż bardziej krwawą posoką się broczy,
Jak bryła węgla zgasło, i noc wszystko mroczy.
Przez chwilę, cisza zgrozy po tym słońca skonie, —

I krzyk z piersi tysiąców, straszliwe lwów ryki,
Huk, trzask, zamęt, skrzyp wozów, szczęk broni w popłochu,
Jęczy rozpacz w ciemnościach i strach zgrzyta blady.

Mrok upada; w krwi widać stratowane szyki,
Tam pierzcha grzmiące morze zbitych ciał w mgłach prochu,
Tu z oczyma w słup — zbladłych stoją wojsk gromady.

JESIEŃ.

Matka kona. Już słabe jej tętna, pierś skrzepła,
Już śmiertelnego potu błyszczą na niej szrony;
Drzewa smutnym szelestem pożółkłe korony
Zrzucają, aby resztę w niej podtrzymać ciepła.

Lecz na próżno. Mgieł zimnych ścielą się tumany,
We mgłach drapieżne ptactwo krąży z dzikim wrzaskiem;
Wicher nagie konary łamie z suchym trzaskiem —
Wszędzie mrącego życia piętrzą się kurhany.

Ziemia cicho umiera pod uwiędłą trawą,
Wpatrzona w niebo blade, zimne, bez litości,
Słońce, z łona chmur szarych wyjrzawszy jaskrawo,

Wnet się chowa na widok jej ostatnich mdłości:
Już w lód zakuta zima, tchnąc mroźną kurzawą,
Rusza, by świat pogrążyć w swych śniegów martwości.

MRÓZ SIĘ BAWI.

W wieczór listopadowy wicher rozdąsany
Ogołaca do reszty z suchych liści drzewa
I prósząc drobnym śniegiem pędzi ich tumany.

A młody mróz się bawi. Nagle pnie owiewa
Mroźnym tchem, ściska szronem, aż dusze drzew z lękiem
Opuszczają konarów wciąż krzepnące trzewa.

W ciemnościach po powietrzu błądzą z smutnym jękiem,
A mróz się chyłkiem skrada, zdradziecko się czai,
Nagle chyżo się ku nim pomknie skrzydłem cienkiem.

Już wpada w sam środek ich wylękłej zgrai,
Siecze lodem, na wszystkie rozprasza je strony;
Kryją się w suchych trzcinach na brzegach ruczai.

Wtem widzą jakieś światło. Przez ciemne zagony
Lecą za niem, okrutny mróz wciąż na nie dybie,
Czują ciepło w izdebce, widzą żar czerwony.

Snują się jakieś cienie w człowieczej siedzibie —
Słyszą nieznane dźwięki, słuchają ciekawie,
Siadłszy cicho na gładkiej przeźroczystej szybie.

W izbie to pełga płomień, to bucha jaskrawie.
Falą się jasnych blasków rozlewa po chacie,
Ślizga się po podłodze, powale i ławie...

Zacięty mróz czyhając siadł na furtki kracie
I gapiące się dusze napada znienacka.
Jednym tchem w lód je ścina w księżyca poświacie.

ŚMIERĆ.

Cicho, jak światło i ciemność w dal niezmierzonych obszarów,
Idzie bezwładnie wciąż naprzód, miarowym chodem zegarów;
W twarzy jej pięknej, wciąż młodej, zmęczonej wiecznem cierpieniem,
Uśmiech anielskiej litości igra z nadziemskiem marzeniem

O światach jeszcze nieznanych. Idąc zamknięte ma oczy
I wielki spokój na czole we wieńcach siwych warkoczy.
Siwe jej szaty; przed sobą czarny ma przetak; z przetaku
Wciąż czerpiąc, sieje dokoła garście siwego ziarn maku.

Z cichym szelestem mak sypki, mak siwy pada powoli,
Gdzie padnie, cisza ogromna, kamienna cisza na roli,
Gdzie padnie, płynie sen mętny, sen niezbłagany, sen szary,

I chłonąc w sobie kształt wszelki, ogarnia życia bezmiary. —
A ona idzie wciąż naprzód, idzie bez chwili wytchnienia,
I sieje, sieje, wciąż sieje, mak wieczystego milczenia.

Stanisław Barącz

NOCTURNO CHOPINA.

Pannie Maryi M.

Cicho o szyby deszcz jesienny siecze,
Smutek po ziemi mgłą zimną się ścieli,
Zmrok siny zwolna ponuro się wlecze
I wszystko chłonie w swej mętnej topieli. — —

Czasem się z jękiem wiatr jesienny zerwie
I zgrzycząc sucho starem skrzypnie drzewem,
Czasem gdzieś wrona zakracze przy ścierwie
I cisza. — Śmierci omroczon wyziewem
Świat cały stężał; serce przerażone
Na bratnie serce krzykiem duszy woła;
Ciemności milczą, wszystkie sny prześnione,
Skrzydła złamane, i pusto. — Dokoła
W mrokach majaczy twarz wspomnień upiora. — —
Straszna samotność bez śmierci i życia. —

Na chore serce kładzie lęku zmora
Zimne swe ręce, tłumiąc jego bicia
I duszę pęta w ciężkie udrętwienie — —
Ból ciągle w sercu, szemrze, rośnie, wzbiera,

Rozpaczą ciemne rozpiera przestrzenie,
Wichrem rozrywa czarnych chmur opony
I burzą szału po gwiazdach się wdziera
Przed Bożych potęg wiekuiste trony —
Przed Bogiem taki ostatni jęk rzuci,
Jęk, który zgrozą zćmi blask niebian chwały —
Samego Boga w niebiesiech zasmuci
Ten rozdartego serca ból zuchwały.
I gorzkim smutkiem znów zalewa serce...
Rozchyla żalu bezbrzeżne rozchwieje,
I w wirach tęsknot, we wspomnień rozterce
Gdzieś na dnie duszy wyczerpany mdleje. — —

O ZMROKU JESIENI.

Wszystko sobą upyla zmrok błękitno szary,
A zachód jeszcze łuną pali się jaskrawie,
Co, jak róż na palecie roztarty, na stawie
Się rumieni; szelęstem wiatr trącił szuwary

I uderzył w pierś boru pożółkłą; bór stary
Szepce psalmy. Tam z jękiem w dal lecą żurawie.
Jęk przeszył smutkiem przestrzeń i na nieba skrawie
Zamiera. Nad wodami majaczą opary

Widmem śmierci. W naturze zaczęła się męka,
Zaraz dłoń jakaś całun na ów świat zarzuci,
Który śmierć ma na wieki wyrwać z istnień łona.
Znowu rozsieje kwiaty wiosny błoga ręka,
Znowu nadejdzie lato i jesień powróci,
Lecz z jesienią w naturze coś na zawsze kona.

MRÓZ.

Powstał mróz, groźny olbrzym, w zórz północnych łunach;
Wyjąc, szczęknęły wichry w lodowe puklerze.
Na podbój, po najdalsze państw słońca rubieże
Pędzą na śnieżnej burzy rozczochranych runach.

W zaspach śniegu brnąc z trudem ciągną karawany;
Widać psy, reny, ludzi i sępów zastępy.
Mróz tchnął, a tabór stężał. Mrą na ludziach sępy.
Mróz z tryumfem wnet dalej rusza niezbłagany

I z trzaskiem krusząc skały po dzikich manowcach,
Pod pochód ściął jeziora w lodowe zwierciadła
I na burzach wśród wichrów mknie cwałem bez końca; —
Na szczytach gór podniebnych stanął na lodowcach:
Spojrzał w głąb jasnych dolin, w złoty przestwór słońca
I odetchnął — a słońca twarz z lęku pobladła.

Stanisław Barącz

PO DESZCZU.

Deszcz ustał, — po ulicach szemrzą wody strugi;
Kałuże biorą niebo w rozchwiane kołyski
I igrają tęczami; rzuca lśniące łyski
Na nie słońce, w złociste osnuwa je smugi.

Inne brudne, bulkocąc niby wrące ługi,
Zieją parą; wtem słońce w tysiączne rozbłyski
Rozprysło się po szybach i każdy głaz ślizki
Swoim ciepłym uśmiechem osusza z szarugi.

Jeszcze lśniąc wielkie krople drżą na każdym gzymsie —
I nagle zaczajone w nich rzesze rusałek
Rozpierzchną się dokoła w tęczowym migocie

Zaśmieją się wesoło blaskami i nim się
Wzrok opamięta, skrzące od ognistych strzałek
Umkną w niebo i w słońca rozpłyną się złocie.

BÓL.

Ból ciągłem echem wstrząsa ponure me wnętrze
I swem czarnem zaklęciem wskrzesza straszne zmory;
Znów widzę mych nadziei zważone ugory,
Na nich me spragnień mrące marzenia najświętsze.

Jak grom, gdy na dnie morza drzemiące potwory
Cucąc, czerwonym blaskiem na powierzchnię nęci,
Tak krzyk bolu wywabia z lochów mej pamięci
W mrokach oddawna spiące pamiątek upiory.

W mej duszy, tej na poły zwalonej katedrze,
Wszędzie sterczą ponure mych dążeń grobowce —
A puhacz smutnych przeczuć zawodzi swe jęki.

I gdy nagle myśl jasna ciemności rozedrze,
Z pod pleśni przez pajęczyn rozsnute pokrowce
Widzę — szyderczo śmierci uśmiechnięte szczęki. —

NAD GŁĘBIĄ.

Głębia wytrzeszcza ku mnie tysiąc skrzących oczu,
Chwyta mnie w swych uroków moce nieprzeparte —
Tak niezbłaganie nęci ta straszna Astarte
W odmęt wirów, zdradziecko ukrytych w przeźroczu!

I woła swym błękitem w wieczność jak anieli, —
Łechce moją tęsknotę błogiem wniebowzięciem,
Tak mnie głębokich szumów odurza zaklęciem —
Że półsenny, bezwładnie, idę ku topieli,

Otwiera mym marzeniom swe mistyczne gaje
Oaza wiecznej ciszy, gdzie w zapomnień zdroju
Zbolałe serce zmywa ziemskich wspomnień pyły;

I nagle lęk mię zbiera — jak zbudzone zgraje
Czartów wrzasły instynkty; z sobą w strasznym boju,
Czuję, jak oczy Głębi ssą chciwie me siły. —

TĘSKNOTA.

Na dnie jeziora, w konchę przejrzystą zaklęty,
Męczę się. — Drży od lęku w topielach milczenie;
Księżyc na wód powierzchni położył się biały
I ogromne swe oko zatapia w głębiny.
Z dna sterczą wodorosty zwite w dziwne skręty —
Rozparł groźnie konary w krąg las skamieniały —
Wielkie ryby rzucają tajemnicze cienie —
Czasem zwiększają księżyc wód dmących się wały.
Gwiazdy siadły na falach jak złote gołębie,
Wzniecając jeszcze we mnie tęsknoty trawiące,
Mówią mi o nieznanej, cudownej krainie —
I rośnie ma tęsknota przez niezmierne głębie
Ku gwiazdom, wyzwolenia łaknąca godziny —
A ja się wciąż tak męczę w tej wątłej łupinie —
Tak mi się wloką chwile jak wieków tysiące.

Stanisław Barącz

III.

DZIEŃ OSTATECZNY.

(FRAGMENT Z WIĘKSZEJ CAŁOŚCI.)

Głosy trąb archanielskich rozbrzmiały się we wszystkich czterech stronach świata. Padła zgroza z wieczności. Ziemia, z przerażenia trzęsąc się, do posad szczękała w kamiennych wnętrznościach. I struchlały serca w piersiach ludzi i w łonach wszystkich tworów żyjących — i stanęły wszystkie zegary na wieżach miast całego świata. Niewzruszone piramidy i gmachy, odwieczne pomniki i nieruchome posągi, chwiejąc się, drżały jak listki osiny przed tą grozą, idącą z wieczności. I zerwał się wielki wicher z morza, i porywając z sobą całe wód obszary w przestrzeniach skręcał je w olbrzymie szare wodne trąby, sięgające od powierzchni topieli aż do sklepienia niebios; a wprawiwszy je w wir zawrotny z całym rykiem rozjątrzonego morza pognał je na lądy.

A drugi wicher wstał od północy i dmąc śnieżystą zawieruchą, w szalonym pędzie potężnym tchem jakby niezbłaganą dłonią olbrzyma żywiołów zrywał szczyty gór skalistych i całe puszcze leśne wyrywał z korzeniami, a wchłonąwszy je w siebie, skłębiał w jeden olbrzymi wał ruchomy, kotłujący się od chaosu, i z całem wyciem północy i z przerażającym łomotem druzgotanych skał i drzew i z rozpaczliwym wrzaskiem ginącego ptactwa toczył go przed sobą, miażdżąc zwierzęta i ludzi i wszystko, co sterczało nad powierzchnią ziemi.

A trzeci wichr podniósł się z 'pustyni i płynąc krwawą pożogą niszczył wszystko, od stworzeń, które żyły pod powierzchnią ziemi, aż do embrjonów, krążących w przestrzeni. I tak szedł ten wicher czerwony paląc niebo i ziemię i rzucając przed sobą purpurowe makaty swoich blasków na pół widnokręgu. I wszystkie trzy ruszyły przeciw sobie z ogromnym impetem, a gdy się zwarły, wszczął się wielki zamęt i rósł w chaos straszliwy i powstał szum przeciągły złowrogi podobny do łoskotu wzburzonego morza, kiedy przerwawszy tamy spienionymi odmęty wali się w doliny, lub do głuchego rumotu usuwających się gór piaszczystych. Od oparów, dymów i kurzów powietrze stało się rude jak niebo, widziane od dna głębin morskich. I rosło i wzmagało się bez końca igrzysko rozpasanych żywiołów. Trąby wodne, jak olbrzymie węże chwytały w swe skręty, niesione wichrami, pnie drzew płonących i wywijając ich płomienistemi koronami, jak miotłami komet i miecąc wszystko z ziemi pod niebo kreśliły ogniste smugi i kręgi na zamęcie, i szły w wirze szalonym przeciw zwartym hufcom huczących płomieni, a gdy się z nimi starły, płomienie skoczyły ku nim z sykiem jak rozjuszone pantery, szarpiąc i gryząc ich potworne cielska i borykały się z nimi i z głuchym łoskotem obalały je o ziemię, a przygaszone pełgały błękitnymi ognikami — i wyrwawszy się z pod nich, skakały jak spłoszone rumaki, i jak smoki siarczyste buchały wysoko słupami iskier i pary, pomiędzy którymi rozżarzone do białości skały, świszczały jak olbrzymie kule z potwornych dział wyrzucone, zostawiając po sobie białe błyskawice w czerwonem powietrzu. I zbiwszy się w jedną ogromną burzę niosącą śmierć wszystkiemu, rozhukane żywioły ruszyły na spustoszenie ziemi. A gdy

płonącemi kłodami i rozżarzonymi głazami uderzyły w czoło miasta, wieże jego kruszyły się z trzaskiem i w miał się rozsypywały. I pękły potężne sklepienia wielkich świątyń, a stare ich dzwonnice stękały hucząc głucho. Od wielkiego wstrząśnienia wszystkie dzwony same naraz uderzyły ostatniem podzwonnem dla ginącego miasta i zerwawszy się z lin swoich, rozbijając się po załomach i stopniach krętych klatek schodowych, spadły z przeraźliwym jękiem. A miasto jakby z jednej olbrzymiej piersi zawyło rykiem okropnym, mieszczącym w sobie wszystkie głosy rozpaczy i umilkło na wieki, albowiem lęk straszliwy poraził gardła wszystkich mieszkańców.

Ludzie w niemem przerażeniu z szaleństwem kryli się pod ciemnymi sklepami głębokich piwnic i tłocząc swe ciała w szczeliny, wpijali paznokcie w mury i z zimnym potem na czole umierali ze strachu; a najplugawsze stworzenia, szczury, myszy i karaczany i złowieszczyki, gnieżdżące się po najskrytszych szparach lochów, wypełzły i szukały schronienia na piersiach ludzi. A rozchwiane ściany wciąż rysowały się z trzaskiem i trzeszcząc miażdżyły wszystko w swych gruzach. — Obleciawszy trzy razy ziemię, rozszalałe żywioły spoczęły na ostatnich ruinach pod niebem mętnem, brudno-zielonem, które w miarę opadających oparów i dymów przechodziło w barwę szarą, coraz jaśniejszą, aż nakoniec po raz ostatni zabłysło pełnym błękitem nad umarłą ziemią. I nie pozostał kamień na kamieniu po dziełach rąk ludzkich. Z bujnego życia na ziemi nie było już i śladu. Tylko jeszcze niekiedy wielkie płaty sadzy, wznosząc się zwolna, jak olbrzymie sępy śmierci, w milczeniu, bez szelestu przelatywały z gruzów na gruzy.

II.

A trąby archaniołów ozwały się po raz wtóry.

I natychmiast niebo spełzło i rwąc się w szmaty, wielkiemi płachtami spadało na ziemię i gasło. A w miejscu niknącego błękitu na firmamencie rozstępowały się czarne przepaście i płynąc cicho ku sobie zlały się w jedną bezdeń ciemności. A płonące południowym żarem słońce na czarnem niebie zaczęło krwią zachodzić i krwawiąc coraz bardziej, rzucało ponure blaski na ciemności, niby strugi krwi, krzepnącej na kirach i jakgdyby się mocowało z jakąś niewidzialną a niezbłaganą siłą, drgając toczyło się po widnokręgu, aż zsiniawszy okropnie na skraju widnokresu gwałtownie się zachwiało i runęło w otchłanie rozkołysanych ciemności. A jak szeroko z przerażenia rozwarte, z wielkiem natężeniem wytrzeszczone oczy, poglądały na tę zgrozę — gwiazdy. I gdy słońce runęło, blednąc i migocąc złowrogo, wypadły z kolei swoich obiegów i zerwały się za słońcem. Zrazu leciały chmurą róż promienistych, rozkwitających się w locie; a zbliżając się ku ziemi, wyglądały jak stada ogromnych, płomienistych ptaków i rosły w niezmierne globy i zderzały się ciała niebieskie, krzesząc w ciemnych przestworzach straszne iskrzyce na pół nieba, niby potworne słońca

ogniste o niebieskich brzegach, rozpychające gwałtownymi wybuchami światła zastępy walących się ciemności i druzgocząc się z hukiem ogromnym gasły. — I spadały grzywiaste komety, tocząc za sobą purpurowe łuny, niby potężne rzeki, wezbrane krwią i ogniem, lecące w straszliwych kaskadach z niedosiężnych skał zenitu w czarne przepaście nadiru. A grzmot kosmiczny gruchocących się globów rósł i huczał w drżących bezmiarach wszechświata. A gdy już ostatnia gwiazda spadła, grzmoty zaczęły milknąć i noc wieczysta szła cicho w niezmierzone swe państwa. A jeszcze bryły strzaskanych światów warczały i huczały w ciemnościach jak olbrzymie bąki, puszczone przez dzieci olbrzymów nieznanych globów. Aż na koniec, gdy wszystko ucichło z głuchnącym szumem daleko odpływającego morza, trzęsące się w ciemności w niemem milczeniu zwarły się na wieki w niezmiernych pustych przestrzeniach. Wszechświat już istnieć przestał.

III.

A dźwięki surm straszliwych po raz ostatni zagrzmiały grobowo w ciemnościach i padły strasznem wezwaniem na sąd ostateczny a hucząc toczyły się ponurem echem z ruin na ruiny i przebiegały milczących mórz odmęty. A na ich głos grzmiący powierzchnie ziemi i ciemne topiele jęły się roić od seledynowych światełek, jakoby od nieprzeliczonych mnóstw błędnych ogników. Były to dusze wszystkich zmarłych na wszystkich lądach i morzach, od stworzenia aż do końca świata. I tych, którzy goniąc za zyskiem, sławą i wiedzą, w zapasach z burzą strzaskani prądem o skały poszli na dno wraz z okrętem; i tych, którzy walcząc o wolność i wiarę, polegli w krwawym boju przy świętych sztandarach. Dusze krwawych najeźdźców, którzy grabieżąc i ciemiężąc obce narody, przemoc ustanowili za prawo, a szerząc gwałt i mord, krzewili krzywdę na ziemi i siali nienawiść w rozdartem sercu ludzkości. Dusze świętych, którzy głosząc miłość i przebaczenie, nieśli pokój tej ziemi, a przez ślepotę i złość ludzką byli umęczeni. Dusze potężnych władców, którzy dokonali żywota wśród najwyszukańszych rozkoszy, i nieszczęsnych nędzarzy, zgasłych w upodleniu i ucisku z wielką rozpaczą w sercu. Dusze wielkich bo-

haterów ludzkości, bohaterów miłości i prawdy, wszystkie rojąc się tłumnie ze wszystkich stron wciąż przybywały w nieprzejrzanych rzeszach i snując się tumanami migotliwych błysków zlewały się w świetliste chmury i jak olbrzymie łany promiennych gwiazd morskich na rozchwianych wałach wzburzonego morza unoszone, tworząc naprzemian świetlane doliny i ruchome góry z piętrzących się świateł, zmierzały wszystkie na straszliwego sądu dolinę.

IV.

Czarne, w ostre urwiska poszarpane skały wzdłuż wąwozów wiodących do fatalnej doliny w świetle dusz przeciągających wyglądały ponuro i groźnie, jak gruzy twierdz pysznych aniołów. A w głębi doliny na wzgórzu, przyodzian w szaty tak olśniewającej bieli, że ich blasków żadne ziemskie oko znieśćby nie mogło, czekał Chrystus, prawicą wsparty na ogromnym krzyżu. Z oblicza jego spływała miłość światłem i ciepłem rajskiego słońca, a wzrok jego brał mocą nieprzepartą wszystkie dusze i wnikał w samą treść ich istoty. A na czole jego, gdzie czuwała niewzruszona sprawiedliwość, jaśniało wielkie przebaczenie wraz z mądrością bożą. A korona cierniowa pałała mu na skroniach rubinową światłością męczeńskiej chwały i bił od niego majestat wielki i otoczon był mocą wszystkich potęg niebieskich, a wola boża rozrosła się w ramionach Jego. A zaległszy dolinę, nieprzeliczone dusz rzesze z tajemniczym szeptem pełgających płomyków na dogasających węglach i z ledwie dosłyszalnym pryskiem na powierzchni cichej wody pękających baniek, stały przed Nim niwą promienistych kłosów i drząc, niespokojnie czekały bożego wyroku. A wszystkie siły natury, wyzwolone z praw swoich, ważąc się

tajemniczo w przestrzeniach, niepokoiły swą obecnością dusz gromady, jak potężne demony, wyłaniające nagle swe oblicza z wieczności.

IV.

Z TŁUMACZEŃ.

WIKTOR HUGO

OGIEŃ NIEBIESKI

Nadciąga chmura czarna, jak nocy pomroka,
Raz to blada, raz krwawa, wspaniała dla oka,
Ponura jak posuchą spalone rozłogi:
Rzekłbyś, że z łona Nocy na szalonym wietrze
Wały wrącego dymu sadzą przez powietrze,
Z hukiem całego miasta w objęciach pożogi.

Gdzie powstała? w niebiesiech, w morzu, w górskiem gnieździe?
Czy to wozy piekielne ku nieznanej gwieździe
Unoszą tłum szatanów nadpowietrznym szlakiem?
O zgrozo! jak jej łono chaosem się kłębi;
A krwawe błyskawice ciska z mrocznej głębi,
Niby potworne żmije z ognistym zygzakiem.

Morze — morze bez końca; fale, ciągle fale —
Próżno ptactwo do lotu zrywa się zuchwale;
Wszędzie fale dokoła, a w dole bezdenie,
Wały morskie wbrew wałom suną zwartym szykiem,
Odparte w czarną przepaść lecą z głuchym rykiem,
Górą szumią bałwany, drżą morza przestrzenie;

Niekiedy wielkie ryby, płynąc przez topiele,
Rozlśnią w promieniach słońca swoje srebrne skrzele,

Lub szerokich ogonów brunatne szczeciny.
Morze jak stado owiec wstrząsa runem białem;
Lecz widnokrąg ściśnięty chmur spiżowych wałem;
Niebo zlewa swój błękit z błękitem głębiny. —

»Mam wysuszyć to morze?« pyta chmura sroga —
»Nie« — odgrzmiało. Mknie dalej, gnana tchnieniem Boga.

Zatoka! Zielenią, aż ćmieją się brzegi,
A wzgórza w lustrzaną wpatrują się toń. —
Tam stada bawołów, jałówek szeregi...
A pieśni wesela mkną z wiatrem przez błoń. —
Z namiotem i żłobem u morskich wybrzeży
Szczep wolny, waleczny, lud łowców, pasterzy;
Ich strzała w zawody i z gromem pobieży,
Gdy silna z cięciwy wypuści ją dłoń. —

I nigdy powietrza tej błędnej rodziny
Nie kazi swym jadem ni dżuma, ni trąd:
Dziewczęta i chłopcy, walecznych drużyny
I dzielni wodzowie, zebrani tam w rząd,
Pląsają pospołu dokoła ogniska,
Co w wietrze wzdłuż brzegu to pełga, to błyska,
Podobnie, jak we śnie złych duchów zjawiska,
Gdy kuszą i mamią i wodzą nas w błąd...

Ich dziewy tak wabią łon cudnych hebanem,
Jak gaje, gdy zmroku otuli je czar.
Co tylko się przejrzą w lusterku miedzianem,
Dokoła śmiech pusty i wrzawa i gwar.
A inne ochoczo zbierają się w grona
Dokoła pieszczonych wielbłądzic swych łona,

I mleko z pod czarnych rąk tryska z wymiona
Szumiących pian śniegiem w glinianych głąb czar.

Tych kobiet i mężczyzn tłum nagi z wieczora
Pospiesza, by w morski zanurzyć się bród.
Wśród jakich to jeszcze dróg błąkał się wczora
Nieznany nikomu, wędrowny ten lud ?!
Chrypliwy dźwięk rogów, cymbałów brzęczenie,
Przeciągły ryk trzody i końskich stad rżenie
Brzmią razem i w jedno zlewają się brzmienie
Ze szumem odwiecznym bezmiarów tych wód. —

Chmura chwilę w przestrzeniach waha się i dyszy.
»Pędź dalej« — głos nieznany padł w złowieszczej ciszy.

Egipt złocistych kłosów rozpościera łany,
Przetkane barwnem kwieciem, jak drogie dywany,
Równina za równiną w dalekie przestworza.
Z północy woda chłodna, z południa gorący
Piasek walczą o Egipt. Z uśmiechem kwitnący
Egipt słucha, co gwarzą mu dwa grzmiące morza.

Wielkie dzieła rąk ludzkich, trzy kamienne góry,
Marmurowym trójkątem przebiły lazury
I zasłaniają oczom przez piasku ukropy
Zasypane podstawy, i aż do ich szczytu
Od puszczy pną się stopnie szerokie z granitu,
Niby ogromne schody pod olbrzymów stopy.

U wejścia sfinks milczący. Dalej na uboczu
Czuwa jakiś bóg groźny, a nigdy im oczu
Nie zmruży wiatr pustyni kurzawą z płomieni.
Wielkich statków do portu zwolna flota zmierza.
Gród olbrzymi jak mocarz zagarnął wybrzeża
I w falach morza kąpie swe stopy z kamieni...

Samum zawył gdzieś w puszczy, dysząc tchem zarazy,
Z pod brzuchów krokodyli o nadbrzeżne głazy

Wśród ciszy było słychać zgrzyt łusek chwilami;
Tam szary obelisek wystrzela do góry
Śmiałym rzutem. Podobny do tygrysiej skóry,
W słońcu płynie Nil żółty, zasiany wyspami.

Monarcha gwiazd, znicz światów w wód drgającem łonie —
Żywym ogniem, — odbity skłaniał do snu skronie...
Słała się błoga cisza po ziemi i niebie.
A wskróś niebios różowych i wskróś fal świetlistych,
Jak dwaj druhy królewscy dwoje słońc ognistych
Z monarszem powitaniem szło naprzeciw siebie.

»Gdzież mam wreszcie się wstrzymać« — grzmiąc chmura się dąsa.
»Nie tu jeszcze« — głos odbrzmiał, co gór wnętrzem wstrząsa.

Piaski — wciąż piaski — puszcza;
Chaosu wre w niej szał,
Ciągnie szarańczy tłuszcza,
Moc poczwar i plag zwał.
Wzrok się w zamęcie nurza,
Gdy żółtych piasków wzgórza
Toczy z wichurą burza,
Jak wód wezbranych wał.

Cisza; znów świętość miru
Znieważa ziemski gwar.
Szlakiem tych puszcz z Ofiru
I z Mambry mimo skwar
Ciągnie sznur karawany,
Pełza przez zasp bałwany,
Jak wielki wąż w tumany
Brnąc wydm i w piasków war. —

Bóg sam w swej mocy szańce
Otoczył pustyń rąb,
Wytknął im granic krańce,
Oznaczył wnętrza głąb.
Powietrze mgłą wapory,
Dymiących puszcz ugory,

Jak morze pian kędziory
Popiołów wznoszą kłąb.

»Panie! zmienić tę puszczę piaszczystą w jezioro?«
»Nie!« — stał się głos w niebiesiech. Chmura rusza skoro.

Jak w spiętrzone nad głębią skał niezmiernych łomy,
Jak tłumu wież w posadach zachwiane ogromy,
Taki wznosił się Babel wśród mroków ponury,
Wieczny świadek śmiertelnych pychy i nicości;
Groźnie pnąc się ku niebu w księżyca światłości,
Kamiennym swoim cieniem przygniótł cztery góry;

Gmachy w gruzach głęboko zapadły się w ziemię;
Wyły chórem piekielnym, rozbijając ciemię,
Więzione huragany o sklepień powały.
Tu niegdyś ród człowieczy bluźnił w pychy szale,
Babel urągał Bogu, pruł niebo zuchwale,
W ślimaczych swoich skrętach chciał glob zdusić cały
I kręgami swych schodów dosięgnąć zenitu;
Ledwie największe góry ze swych łon granitu
Każda na jeden stopień mogły wydać ciosy. —
Drąc się dumnie wciąż w górę, sterczał stok nad stokiem,
Piętrząc się w nieskończoność przed strwożonym wzrokiem,
Babel chmurą piramid przerażał niebiosy.

Potworne węże boa, sine krokodyle,
Po tych rozpadłych murach jak jaszczurki w pyle
Pełzały wśród brył głazów, w mech obrosłych rdzawy.
Kolosy palm niknęły w załomach tych gruzów,

Zwieszając po wież czołach swe liście w kłąb guzów
Splątane, wyglądały z dołu jak pęk trawy. —

Przez rozpadliny murów szły słonie gromadą,
Gdzie szumiał las dziewiczy pod słupów arkadą,
Wzniesionych tam bez końca na szału igrzysko.
Stada olbrzymich orłów, czarnych sępów roje,
Wpadały w mrocznych sklepisk rozwarte podwoje,
Niby w głąb niezmiernego ula — rojowisko.

Chmura się zżyma, rzuci wnet gromów zarzewie;
»Ruszaj!« — rzekł Bóg. — »O Panie! dokąd szlesz mnie
w gniewie?«

Stanisław Barącz

Dwa miasta tajemniczo wznoszą swoje mury;
Tarasy na tarasach spiętrzone aż w chmury,
Niekiedy wśród mgły nocnej migocąc światełkiem
Spią cicho, wraz z bogami, z swym ludem i zgiełkiem.
Spią na jednej dolinie dwie bliźnie siostrzyce —
Księżyc na tle ciemności srebrzy ich wieżyce,
A dalej wzrok rozróżnia zmięszane w natłoku
Wodociągi, łuk schodów, rząd słupów i w mroku
Jedną grupę z granitu, co ogromem gniecie,
Tłum słoni, dźwigających wielki chram na grzbiecie.
Tam olbrzymów posągi patrzą z groźnem czołem
Na rój poczwar ohydnych, pełzających dołem.
Tam wiszące ogrody i kolumn arkady,
Gdzie księżyc taśmy srebra wplata w włos kaskady,
Dalej w głębi świątyni na drogim marmurze
Sto bożyszcz jaspisowych wznosi głowy turze.
Powała z jednej płyty sklepi wielką salę,
Gdzie grono bogów z bronzu groźnie i wspaniale,
Nie racząc podnieść głowy, tu dzierżąc swą władzę
Z rękoma na kolanach, zasiadło w powadze.
W tych pałaców;. portyków alei ponurej
Wszędzie kształtów nieznanych majaczą kontury,
W tych wież czarnych załomach, pod tych mostów łękiem,
Przerażony wzrok błądzi i cofa się z lękiem.

Jak olbrzymie przylądki, szerokimi cieni
Rozparły się tu gmachy wśród niebios przestrzeni,
Niby stosy ciemności stężałych pod mgłami;
Niebo wzdłuż widnokręgu płonęło gwiazdami
I przez tysiące łuków wysokich kabłąki
Skrzyło się jak dyadem z pod czarnej koronki.
Rozszalały w swych chuciach te piekielne miasta,
Gdzie z każdą chwilą wstrętna jakaś rozkosz wzrasta,
Dusząc brudne obrzędy pod każdą powałą,
Jak wrzody świat każące swej ropy zakałą,
Teraz spią snem głębokim. Niekiedy z ich łona
Ledwie blade światełko mignie się i kona.
Jakaś lampa rozpusty losem nierządnicy
Po orgji opuszczona tli w pustej ulicy.
A księżyc jasnem światłem rogi murów bieli,
Co drąc mrok drżą odbite w jeziora topieli.
W dolinie szmery, niby pocałunki tkliwe,
Niby zaklęć miłosnych szepty pieszczotliwe —
Lekki wietrzyk, muskając senne sykomory,
Falą woni z Sodomy płynie do Gomory.
Dwa miasta śpią, dwie siostry po dziennem znużeniu,
W jednym miękkim uścisku, w miłosnem omdleniu,
A w górze z czarnych piersi grzmi chmura złowroga
»Tu runiesz!« Gdzieś z nad niebios rozległ się głos Boga...

Z szalonym wybuchem,
Z wichury podmuchem
Chmura z czarnych szluz
Na pałaców karki
Sadzi lawą siarki,
Wali gmachy w gruz:
Z wściekłością drąc łono,
Po murach czerwono
Błyska jak krwi śluz. —

Sodomo! Gomoro!
Jakim blaskiem gorą
Szczyty waszych wież!
Pan wziął z żgieł chorągiew,
Rozlał gniewu stągiew,
Wpadł jak dziki zwierz;
Na was z całej siły
Spuścił rąk swych bryły,
By was zetrzeć w perz!!

Spi wszystko, lecz trwoga
Niepomnych na Boga
Gwałtem płoszy z łóż;
Tłum wyległ w ulice,

Piorunów iglice
Lecą z świstem burz;
A rzeka pożogi
Zapiera mu drogi
Z hukiem wzdętych mórz. — —

Na dumnych wież stoki,
Olbrzymów z opoki
Ogień rusza w szturm.
I drąc się w te szańce,
Półsenni mieszkańce
Mrą na gzymsach turm.
Ich zboczy urwiska,
Ciemne odmrowiska
Konających hurm.

I nigdzie schronienia
Przed deszczem z płomienia...
Wszędzie śmierci strach.
Żar wszystko druzgoce,
W miazg mosty gruchoce,
Wgryzł się w każdy dach — — —
Aż z trzaskiem w kłąb zbity
O szare dróg płyty
Rozpryskał się w skrach!

Skwierczącym płomykiem
Sączy się strumykiem —
Jak z wędzideł koń —
Zerwał się, wzniósł łono,
Wpadł na bogów grono,
Łuną zlał im skroń.

Aż bronzowe ręce,
Wykręcają w męce,
Twarze chyląc w dłoń...

I z sykiem zawzięty,
Pochwycił w swe skręty,
Srebrnej wieży stok...
Zielonym roztopem,
Czerwonym ukropem
Pryska w ludu tłok,
Gra tęczy barwami,
Skrzy światła łuskami,
Jak piekielny smok.

Pomników kamienie,
Roztopił w strumienie,
I w tych warach wrzał.
»Nabobie! Nabobie!
Ty broń nas w złej dobie«
— Lud przed bóstwem łkał.
A wielkie bożyszcze,
Zapadło się w zgliszcze,
Rozsypane w miał!!

Napróżno swe bogi,
Naprzeciw pożogi,
Niesie magów moc.
Królowie strwożeni,
Wypadłszy z płomieni,
Widzą w straszną noc,
Jak pożar wciąż płynie,
I garnie świątynie,
W łun szkarłatny koc

I dalej się toczy...
Tam z krzykiem się tłoczy
W sień pałacu lud —
A potop płomienny,
Objął gmach kamienny,
Aż pękł w tysiąc grud.
A głazy z szemraniem,
Z tajemniczem łkaniem,
Tajały jak lód.

Widząc rozpacz rzeszy,
Arcykapłan spieszy
W święty bogów chram. —
Chcąc zażegnać żary,
Wzniósł rękę do tyary...
Wtem jak smolny tram
Z trzaskiem suchych cierni,
Spałał w oczach czerni
U świątyni bram.

Czerń pierzcha w popłochu,
Lecz oczy motłochu,
Ślepi krwawy blask.
Tłum wali w miast bramy,
Jak wały wód w tamy —
Gromy głuszy wrzask.
W niebie tłuszcza wściekła,
Widzi otchłań piekła,
Miasto skarbca łask!

A wtenczas jak ten zbrodniarz, który wymiar kary
Chcąc widzieć, wdarł się na mur swojego więzienia,
Tak Babel zdala patrzał, współzłoczyńca stary,
Wspiętrzony nad górami z pod niebios sklepienia.

A taki huk straszliwy, aż w najgłębszych warstwach
Wstrząsnął ziemią, że zadrżał w posadach świat cały,
Że aż w swych ciemnych miastach od zgrozy truchlały
Ludy głuche, żyjące w podziemnych mocarstwach.

Pożar rósł niezbłaganie; żaden z potępionych
Nie wydostał się z miejskich murów rozżarzonych,
Jedni bluźniąc wznosili w niebo pięści sine,
Ci w ostatnim uścisku żegnając się łkali,
Ci wijąc się w szaleństwie: »Który Bóg« — pytali,
»Wylał wulkan, by grody obrócić w perzynę?!« —

W strasznej sądu godzinie przed ogniem niebieskim,
Próżno kryją się w skarbcach na zamku królewskim;
Pan ich wszędzie dosięże swym biczem ognistym;
Wzywają swoich bogów, w ogniu bożej kary,
Znikają nieme bóstwa, jako senne mary —
A z ócz im tryska lawa strumieniem rzęsistym...

Wszystko znikło; tu ziemia stanęła popiołem;
Ludzie, miasta, ogrody i winnice, społem
Pan starł z powierzchni ziemi...
Dymem zieją debra,
Żglą się żuzle z pod dymów, wszędzie pusto, głucho...
Wicher, co w noc tę szalał z ognia zawieruchą,
Zmienił wszystkich gór kształty — skał obnażył żebra.

Dzisiaj samotna palma, rosnąca na skale,
Opuszcza liść żółknący i więdnąc w upale,
Zwisła w powietrzu ciężkiem, przesyconem żarem,
I duma nad tym grobem odległej przeszłości,
Nad tem sinem jeziorem, skrzepłem w swej martwości,
Co jak piec wrący bucha wciąż dymów oparem.

Omyłki druku.

Str. 8 wiersz 1-szy z góry zamiast »Choć się ziemia« czytaj »Choć ziemia się«.
Str. 11 wiersz 8-my z góry zamiast »fala« czytaj »falą«.
» 14 » 8-my » » »Swiat« » »Świat«.
» 16 » 4-ty z dołu » »bicie« » »bicia«.

SPIS RZECZY.